

STEPHEN KING

KONIEC WARTY



AUTOR POWIEŚCI PAN MERCEDES | ZNALEZIONE NIE KRADZIONE

10 KWIETNIA 2009 MARTINE STOVER

Zawsze najciemniej jest przed wschodem słońca.

Ten tekst z brodą przypomniał się Robowi Martinowi, kiedy prowadzona przez niego karetka toczyła się powoli po Upper Marlborough Street w kierunku bazy, czyli Remizy numer 3. Rob uznał, że ktokolwiek to wymyślił, wiedział, co mówi, bo tego ranka było ciemno jak w dupie, a świt już się zbliżał.

Nie żeby wschód słońca dużo zmienił, kiedy już przyjdzie. Można powiedzieć, że to będzie skacowany świt. Gęsta mgła pachniała pobliskim niezbyt wielkim Wielkim Jeziorem. Żeby było jeszcze fajniej, zaczęła padać zimna mżawka. Rob przełączył wycieraczki z trybu przerywanego na wolny. Przed przednią szybą z mroku wyłoniły się dwa charakterystyczne złote łuki.

– Złote Cycki Ameryki! – krzyknął Jason Rapsis z fotela pasażera. Przez te piętnaście lat Rob pracował już z różnymi technikami medycznymi, ale Jace Rapsis był najlepszy: wyluzowany, kiedy nic się nie działo, a skupiony i pewny siebie, kiedy działo się wszystko naraz. – Nakarmią nas! Niech Bóg błogosławi kapitalizm! Zjeżdżaj, zjeżdżaj!

– Jesteś pewien? – spytał Rob. – Przecież właśnie mieliśmy lekcję pogładową, co to gówno robi z organizmem.

Wrócili z wezwania do jednej z monstualnych rezydencji w Sugar Heights. Niejaki Harvey Galen zadzwonił na pogotowie i skarżył się na silne bóle w klatce piersiowej. Zastali go leżącego na kanapie w pomieszczeniu, które nadziani ludzie z całą pewnością nazywali „wielkim pokojem”. Mężczyzna w jedwabnej niebieskiej piżamie przypominał wieloryba wyrzuconego na brzeg. Stała nad nim żona przekonana, że facet lada moment kopnie w kalendarz.

– McDonald’s! McDonald’s! – skandował Jason, podskakując na

fotelu. Zniknął poważny i fachowy zawodowiec, który niedawno zbadał parametry życiowe pana Galena (Rob stał tuż obok, trzymając w ręku torbę ratowniczą ze sprzętem do udrażniania dróg oddechowych i lekami nasercowymi). Z blond czupryną spadającą na oczy Jason wyglądał jak przerośnięty czternastolatek. – Zjeżdżaj, mówię!

Rob zjechał. Sam też chętnie zjadłby bułkę z kielbasą i może jeszcze ten taki placek ziemniaczany, co przypomina pieczony ozór wołowy.

Do McDrive'a czekało w kolejce kilka samochodów. Rob stanął na końcu.

– Zresztą facet tak na serio nie miał zawału – powiedział Jason. – Przedawkował meksykańskie żarcie i tyle. Przecież odmówił podwózki do szpitala, no nie?

Rzeczywiście. Po kilku donośnych beknęciach oraz jednej potężnej salwie z drugiego końca, która wyгнаła do kuchni żonę pana Galena, chodzące zdjęcie rentgenowskie, pacjent wstał, oświadczył, że czuje się znacznie lepiej i nie, wcale nie potrzebuje przewiezienia do Szpitala imienia Kinera. Rob i Jason, wysłuchawszy litanii wszystkiego, co w zeszły wieczór Galen władował w siebie w restauracji Tijuana Rose, byli tego samego zdania. Puls miał mocny, a ciśnienie co prawda nieco podejrzanе, ale zapewne utrzymywało się na tym poziomie od lat, a teraz pozostawało stabilne. Automatyczny defibrylator zewnętrzny w ogóle nie opuścił płóciennego opakowania.

– Ja chcę dwa mcmuffiny z jajkiem i dwa placki ziemniaczane – oznajmił Jason. – I czarną kawę. Albo nie, trzy placki.

Rob nadal myślał o Galenie.

– Tym razem miał niestrawność, ale to tylko kwestia czasu. Zawał murowany. Jak myślisz, ile on waży? Sto czterdzieści kilo? Sto sześćdziesiąt?

– Sto pięćdziesiąt co najmniej – odparł Jason. – I przestań obrzydzać mi śniadanie.

Jego kolega ruchem ręki wskazał złote łuki przebijające przez mgłę znad jeziora.

– To miejsce i cała reszta takich garkuchni to połowa problemu Ameryki. Jako pracownik medyczny musisz zdawać sobie z tego sprawę. Chłopie, wiesz, ile kalorii jest w tym, co zamówiłeś? Spokojnie z dziewięćset. A jeśli do mcmuffina z jajkiem dodasz jeszcze kielbasę, dobijesz do tysiąca trzystu.

– A ty co zamawiasz, Doktorze Samo Zdrowie?

– Bułkę z kielbasą. Może dwie.

Jason klepnął Roba po plecach.

– Mój człowiek!

Kolejka ruszyła. Przed nimi były już tylko dwa samochody, gdy odezwało się radio umieszczone w desce rozdzielczej pod komputerem pokładowym. Zwykle dyspozytorki są spokojne i opanowane, ale ta brzmiała jak nakręcony didżej radiowy, który przesadził z red bullami.

– Wszystkie karetki i jednostki straży pożarnej, mamy zdarzenie mnogie! Powtarzam, zdarzenie mnogie! Najwyższy priorytet dla wszystkich karetek i jednostek straży pożarnej!

Zdarzenie mnogie. Rob i Jason spojrzeli po sobie. Katastrofa samolotu, pociągu, wybuch albo atak terrorystyczny. Niemal na pewno coś z tej czwórki.

– Miejsce zdarzenia: City Center przy Marlborough Street. Powtarzam, City Center przy Marlborough. Przypominam, mamy zdarzenie mnogie, prawdopodobnie wiele ofiar śmiertelnych. Zachować ostrożność.

Rob Martin poczuł ukłucie w brzuchu. Jadących na miejsce katastrofy albo wybuchu gazu nikt nie ostrzega, żeby zachowali ostrożność. Pozostaje atak terrorystyczny, zresztą może jeszcze trwa.

Dyspozytorka powtórzyła wezwanie. Jason włączył koguty, a Rob zakręcił kierownicą, żeby zjechać na drogę okrążającą restaurację. Karetka marki Freightliner otarła się o zderzak samochodu przed nimi. Znajdowali się zaledwie dziewięć przecznic od City Center, ale jeśli na budynek napadła Al-Kaida z kałasznikowami, oni mogli odpowiedzieć tylko defibrylatorem.

Jason chwycił mikrofon.

– Centrala, tu wóz dwadzieścia trzy z Remizy Trzeciej, czas dojazdu: około sześciu minut.

W innych punktach miasta odzywały się inne syreny, ale, sądząc po dźwiękach, Rob przypuszczał, że właśnie oni są najbliższym miejsca zdarzenia. Powietrze zaczynało wypełniać światło w kolorze żeliwa. Kiedy wyjechali spod McDonald'sa i skręcili w Upper Marlborough, z mgły wynurzył się szary samochód, duży sedan z wgniecioną maską i mocno pordzewiałą kratą chłodnicy. Przez moment jego reflektory ksenonowe na najjaśniejszym ustawieniu świeciły prosto na nich. Rob zatrąbił dwiema syrenami na dachu i gwałtownie skręcił. Samochód – wyglądał jak mercedes, ale kierowca karetki nie miał pewności – wrócił na swój pas i wkrótce był już tylko parą tylnych świateł gasnących we mgle.

– Jezu Chryste, mało brakowało – powiedział Jason. – Pewnie nie zapamiętałeś rejestracji?

– Nie. – Robowi tak mocno waliło serce, że czuł puls po obu stronach szyi. – Skupiłem się na ratowaniu nam życia. Słuchaj, jak to możliwe, że w City Center było zdarzenie mnogie? Przecież nawet Bóg się jeszcze nie obudził. Budynek na pewno jest zamknięty.

– Może rozbił się autobus.

– Też nie. Kursują dopiero od szóstej.

Syreny. Wszędzie syreny, zbiegały się jak punkciki na radarze. Obok nich przemknął radiowóz, ale na ile Rob się orientował, nadal wyprzedzali wszystkie karetki i wozy straży pożarnej.

Co oznacza, że nas jako pierwszych może zastrzelić albo wysadzić w powietrze szalony Arab wykrzykujący *Allahu Akbar*, pomyślał Rob. Ale z nas szczęściarze.

Jednak praca to praca, dlatego skręcił na stromy podjazd, który wiódł do głównych budynków władz miejskich oraz szpetnej jak diabli hali widowiskowej, gdzie zawsze głosował, dopóki nie wyprowadził się na przedmieścia.

– Hamuj! – wrzasnął Jason. – Jezu, kurwa, HAMUJ!

Z mgły prosto na nich wybiegały dziesiątki ludzi. Z powodu pochyłości terenu część pędziła na złamanie karku. Niektórzy krzyczeli. Jeden facet się przewrócił, potoczył, wstał i biegł dalej z naderwaną połą koszuli łopoczącą spod marynarki. Rob zobaczył kobietę w podartych rajstopach, z zakrwawionymi łydkami i w tylko jednym bucie. Gwałtownie zahamował, przód karetki pochylił się, niezabezpieczone rzeczy pofrunęły. Leki, butelki kroplówek oraz paczki z igłami z niezamkniętej szafki – co stanowiło naruszenie protokołu – zmieniły się w pociski. Nosze, z których nie skorzystali u pana Galena, odbiły się od ściany. Stetoskop zmieścił się między fotelami, grzmotnął w przednią szybę i spadł na deskę rozdzielczą.

– Tocz się do przodu – powiedział Jason. – Powoli, dobrze? Nie pogarszajmy sytuacji.

Rob trącił pedał gazu i jechał dalej pod górę, teraz już w tempie kroku pieszego. Ludzie wciąż się wylewali, były ich chyba setki, niektórzy krwawili, większość nie miała widocznych obrażeń, ale wszyscy byli przerażeni. Jason opuścił szybę i wychylił się.

– Co się dzieje?! Niech ktoś mi powie, co się dzieje!

Zatrzymał się przy nich mężczyzna, był czerwony na twarzy i dyszał.

– Samochód. Rozjechał tłum jak kosiarka. Pieprzony świr prawie

mnie przejechał. Nie wiem, ile osób trafił. Byliśmy jak świnie w zagrodzie, bo ustawili taśmy, żeby pokierować kolejką. On to zrobił celowo i ci ludzie tam teraz leżą jak... jak... o Boże, jak lalki wypełnione krwią. Widziałem co najmniej cztery trupy. Na pewno jest więcej.

Facet ruszył dalej. Odpływała z niego adrenalina, więc teraz już nie biegł, lecz szedł, powłócząc nogami. Jason rozpiął pas i wychylił się za nim.

– Widział pan kolor?! Tego auta!

Mężczyzna odwrócił się, błady i wyczerpany.

– Szary. Wielki szary samochód.

Jason opadł na oparcie fotela i spojrzął na Roba. Nie musieli mówić tego głośno: to ten wóz, który minęli pod McDonald'sem. A to na kracie chłodnicy to wcale nie była rdza.

– Jedź, Robbie. Bajzłem z tyłu zajmiemy się potem. Na razie dojeżdż na miejsce i nikogo nie potrąć, dobra?

– Dobra.

Kiedy Rob zajechał na parking, panika już słabła. Niektórzy odchodzili wolnym krokiem, inni pomagali ludziom potrąconym przez szary samochód. Kilka osób, takich dupków, co trafiają się w każdym tłumie, robiło zdjęcia i kręciło filmy telefonami. Pewnie liczą, że to będzie hit YouTube'a, pomyślał Rob. Na ziemi leżały chromowane słupki, ciągnęła się z nich żółta taśma z napisem NIE PRZEKRACZAĆ.

Radiowóz, który wcześniej ich minął, stał teraz blisko budynku, obok śpiwora z wystającą z niego szczupłą, białą dłonią. W poprzek śpiwora, pośrodku coraz większej kałuży krwi, leżał rozciągnięty mężczyzna. Policjant dał znak, żeby karetka się zbliżyła. W migotliwym blasku wirujących niebieskich kogutów radiowozu jego ręka zdawała się poruszać zrywami.

Rob chwycił mobilny terminal ratunkowy i wysiadł zza kierownicy, tymczasem Jason pobiegł na tył wozu. Po chwili wyłonił się stamtąd z torbą ratowniczą i defibrylatorem zewnętrznym. Dzień jaśniał coraz bardziej, więc Rob mógł odczytać baner nad głównym wejściem do hali: GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY! *Popieramy ludzi z naszego miasta!* – BURMISTRZ RALPH KINSLER.

Dobra, to tłumaczyło, skąd tu taki tłum o tak wczesnej godzinie. Targi pracy. Wszędzie teraz nastąpiły ciężkie czasy, odkąd rok wcześniej cała gospodarka miała zawał, ale tu, w tym małym mieście nad jeziorem, gdzie miejsca pracy zaczęły znikać jeszcze przed końcem ubiegłego wieku, zrobiło się szczególnie trudno.

Rob i Jason ruszyli w stronę śpiwora, ale policjant pokręcił głową. Był szary na twarzy.

– Ten facet i dwoje w środku nie żyją. Chyba jego żona i dziecko. Pewnie próbował ich ostonić. – Z głębi gardła wyrwał mu się jakiś dźwięk, coś między beknięciem a torsjami. Zasłonił usta dłonią, a potem ją cofnął i wskazał palcem. – Tamta kobieta chyba jeszcze żyje.

Leżała na plecach, z nogami wykręconymi pod kątem, który wskazywał na poważne obrażenia. Jej eleganckie beżowe spodnie były w kroku ciemne od moczu. Na twarzy – tym, co z niej zostało – miała rozmazany smar. Brakowało części nosa i większości górnej wargi. Zęby z pięknymi koronkami odsłoniły się w nieświadomym grymasie. Płaszcz i połowa swetra z golfem również zostały zdarte. Na szyi i ramieniu kobiety wykwitwały wielkie, ciemne sińce.

O kurwa, ten samochód po niej przejechał, pomyślał Rob. Rozgniół ją jak żabę. Obaj z Jasonem uklękli obok kobiety i włożyli niebieskie rękawiczki. Nieopodal leżała torebka rannej, naznaczona częściowym śladem opony. Rob podniósł ją i rzucił na tył karetki, uznawszy, że ten ślad może się okazać jakąś tam poszlaką. A poza tym torebka przyda się kobiecie.

Oczywiście pod warunkiem, że przeżyje.

– Przestała oddychać, ale mam tętno – oznajmił Jason. – Niskie i nitkowate. Zerwij sweter.

Rob tak zrobił. Razem ze swetrem poszło pół stanika z poszarpanymi ramiączkami. Zsunął resztę, żeby nie przeszkadzała, po czym rozpoczął uciskanie klatki piersiowej. Tymczasem Jason zajął się udrożnieniem dróg oddechowych.

– Wyżyje? – zapytał gliniarz.

– Nie wiem – odparł Rob. – Zajmiemy się nią. Pan ma teraz inne problemy. Jeżeli pozostałe jednostki ratunkowe zjadą tutaj pędem tak jak my, to na podjeździe w końcu ktoś zginie.

– Matko, wszędzie leżą ranni. Jak na polu bitwy.

– Niech pan pomaga tym, którym można.

– Oddycha – poinformował Jason. – Chodź, Robbie, uratujmy jej życie. Włącz terminal i powiadom Kintera, że wieziemy pacjentkę z podejrzeniem urazu kręgosłupa szyjnego, rdzenia kręgowego, obrażeniami wewnętrznymi, obrażeniami twarzy i Bóg wie czym jeszcze. Stan krytyczny. Podam ci jej parametry.

Rob połączył się przez mobilny terminal ratunkowy, a Jason dalej ścisnął resuscytator. Oddział ratunkowy w Kinerze odezwał się

natychmiast, głos po drugiej stronie był spokojny i zdecydowany. Szpital imienia Kinera miał centrum urazowe pierwszego stopnia, czasem nazywane klasą prezydencką, więc był gotowy na takie sytuacje. Ćwiczyli je tam pięć razy w roku.

Po zakończeniu rozmowy zmierzył saturację (kiepska, jak należało się domyślać), a potem wziął z karetki sztywny kołnierz i pomarańczową deskę ortopedyczną. Nadjeżdżały inne wozy ratownicze, a mgła podnosiła się, ujawniając skalę katastrofy.

To wszystko jednym samochodem, pomyślał Rob. Kto by w to uwierzył?

– Dobra – odezwał się Jason. – Skoro jej stan nie jest stabilny, więcej nie możemy zrobić. Pakuj ją do karety.

Ostrożnie, tak by deska ortopedyczna cały czas pozostała idealnie poziomo, podnieśli kobietę, umieścili na noszach w wozie i przypięli. Z bladą, zdeformowaną twarzą okoloną kołnierzem przypominała rytualną ofiarę w horrorze... tylko że te zawsze są młode i apetyczne, a ona miała czterdzieści parę lat albo nawet była po pięćdziesiątce. Powiedzieliby się: za stara na szukanie pracy, Robowi zaś wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że już nigdy nie będzie żadnej szukać. Ani chodzić, zapewne. Jeśli dopisze jej szalone szczęście, uniknie tetraplegii – zakładając, że w ogóle przeżyje – ale od pasa w dół to już raczej koniec.

Jason przyklęknął, nasunął plastikową maskę na jej usta i nos, po czym włączył dopływ tlenu ze zbiornika u szczytu noszy. Maską zaszała mgła. To dobry znak.

– Następne? – zapytał Rob, co oznaczało: Co jeszcze mogę zrobić?

– Poszukaj epinefryny w tym bajzlu, co latał po karetce, albo wyjmij z mojej torby. Przez chwilę miałem dobre tętno, ale znowu jest nitkowate. A potem jedziemy. Przy takich obrażeniach to cud, że jeszcze żyje.

Ampułkę epinefryny Rob znalazł na podłodze pod paczką z bandażami. Podał ją koledze, a potem zatrzasnął tylne drzwi wozu, wskoczył za kierownicę i odpalił silnik. Byli pierwsi na miejscu zdarzenia mnogiego, więc będą też pierwsi w szpitalu. To odrobinę zwiększy i tak kiepskie szanse tej kobiety. Ale nawet przy niewielkim porannym ruchu na dojazd potrzebowali piętnastu minut, więc Rob podejrzewał, że zanim dotrą do Szpitala imienia Ralpha M. Kinera, pacjentka już umrze. Zważywszy na skalę obrażeń, może tak będzie najlepiej.

Ale nie umarła.

. . .

Tego popołudnia o piętnastej, długo po zakończeniu zmiany, Rob i Jason, zbyt podminowani, żeby myśleć o powrocie do domu, siedzieli w pokoju wspólnym Remizy numer 3 i oglądali bez głosu mecz na ESPN. W sumie wykonali osiem kursów, ale przypadek tej kobiety był najgorszy.

– Martine Stover, tak się nazywa – powiedział wreszcie Jason. – Jeszcze ją operują. Dzwoniłem, kiedy poszedłeś do kibla.

– Masz pojęcie, jakie jej dają szanse?

– Nie, ale nie zrezygnowali z niej od razu, a to już coś znaczy. Chyba szukała posady asystentki zarządu. Zajrzałem do jej torebki, szukając prawa jazdy z grupą krwi, i trafiłem na cały plik referencji. Zdaje się, że była dobra w swoim fachu. Ostatnio pracowała w Bank of America. Redukcja etatów.

– A jeśli przeżyje? Jak myślisz? Tylko nogi?

Jason wpatrywał się w telewizor, na którym koszykarze zwinnie biegali po parkiecie, i długo milczał. Wreszcie się odezwał:

– Jeśli przeżyje, będzie tetraplegia.

– Na pewno?

– Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

Właśnie leciała reklama piwa. Młodzi ludzie tańczyli na całym w jakimś barze. Wszyscy świetnie się bawili. Dla Martine Stover zabawa się skończyła. Rob próbował sobie wyobrazić, co ją czeka, jeżeli nie umrze. Życie na wózku z silnikiem, sterowanym dmuchaniem w rurkę. Karmienie przetartą papką albo przez kroplówkę. Oddychanie z respiratorem. Sranie do worka. Egzystencja w medycznej strefie zmroku.

– Christopher Reeve nieźle sobie radził – powiedział Jason, jakby czytał mu w myślach. – Nie tracił ducha. Był wzorem do naśladowania. Chyba nawet wyreżyserował film.

– Jasne, trzymał głowę do góry – odparł Rob. – Dzięki kołnierzowi, którego nigdy mu nie zdejmowali. Poza tym nie żyje.

– Ona miała na sobie najlepsze ciuchy. Dobre spodnie, drogi sweter, ładny płaszcz. Próbowiała stanąć na nogi. A potem przyjechał jakiś sukinsyn i zabrał jej wszystko.

– Złapali go już?

– Z tego, co słyszałem, to jeszcze nie. Mam nadzieję, że jak już go dorwą, to powieszą za jaja.

. . .

Nazajutrz wieczorem, gdy zawozili do Kinera pacjenta po wylewie, zajrzeli do Martine Stover. Leżała na OIOM-ie. Powracały funkcje mózgu, co zwykle zwiastuje rychłe odzyskanie przytomności. Kiedy się ocknie, ktoś będzie musiał przekazać jej złą nowinę: była sparaliżowana od szyi w dół.

Rob Martin cieszył się, że to nie będzie on.

A człowiek, którego prasa nazwała Zabójcą z Mercedesa, wciąż nie został zatrzymany.

Z
Styczeń 2016

W kieszeni spodni Billa Hodgesa roztrzaskuje się szyba. Zaraz potem chór rozradowanych chłopców krzyczy: HOME RUN!

Hodges krzywi się i podskakuje na krześle. Doktor Stamos to jeden z kliki czterech lekarzy, więc w ten poniedziałkowy poranek poczekalnia jest pełna. Wszyscy patrzą na Hodgesa. Czuje, że robi się czerwony na twarzy.

– Przepraszam – mówi do całej sali. – Dostałem esemesa.

– Strasznie głośnego – stwierdza starsza pani o przeredzonych siwych włosach i podgardlu niczym u beagle’a. Sprawia, że Hodges czuje się jak dzieciak, choć dobiega siedemdziesiątki. Ale kobieta zna się na komórkowej etykietce. – W miejscach publicznych powinien pan ściszać dźwięki. Albo całkiem wyłączać.

– Oczywiście, oczywiście.

Starsza pani wraca do lektury (*Pięćdziesiąt twarzy Greya*, sądząc po wymęczonym wyglądzie książki, czytane bynajmniej nie po raz pierwszy). Hodges wyciąga iPhone’a z kieszeni. SMS-a przysłał Pete Huntley, jego dawny partner z czasów pracy w policji. Teraz, choć trudno w to uwierzyć, także Pete przejdzie wkrótce na emeryturę. Koniec warty, tak to nazywają, ale Hodges nie potrafił z niej zrezygnować. Obecnie prowadzi dwuosobową firmę Uczciwi Znalazcy. Mówi o sobie, że zajmuje się odnajdywaniem osób poszukiwanych, bo parę lat temu narobił sobie kłopotów i nie kwalifikuje się do licencji prywatnego detektywa. W tym mieście trzeba mieć papiery. Ale tak naprawdę jest właśnie detektywem, przynajmniej co jakiś czas.

Kermit, zadzwoń. Szybko. To ważne.

Kermit to w rzeczywistości pierwsze imię Hodgesa, lecz najczęściej używa drugiego, żeby ograniczyć do minimum żabie żarty. Ale Pete

stale mówi na niego Kermit. Uważa, że to strasznie śmieszne.

Hodges zastanawia się, czy po prostu nie schować telefonu do kieszeni (po wyciszeniu go, jeżeli zdoła znaleźć odpowiednią opcję). Lada chwila zostanie wezwany do gabinetu doktora Stamosa, a chce mieć już za sobą tę wizytę. Tak jak większość znanych mu starszych mężczyzn, nie lubi chodzić do lekarza. Zawsze się boi, że któregoś dnia wyjdzie na jaw, że coś jest nie tylko nie tak, ale wręcz bardzo nie tak. Poza tym przecież wie, o czym Pete chce porozmawiać: o swojej wielkiej imprezie pożegnalnej w przyszłym miesiącu. Odbędzie się w Raintree Inn, obok lotniska. Swoją Hodges także tam wyprawił, ale tym razem zamierza dużo mniej pić. Albo i wcale. Kiedy był w policji, miał problemy z alkoholem, między innymi dlatego rozpadło się jego małżeństwo, ale ostatnio trunki przestały mu smakować. Co za ulga. Czytał kiedyś powieść science fiction pod tytułem *Luna to surowa pani*. O Lunie się nie wypowiada, ale w sądzie zeznałby bez wahania, że to samo można powiedzieć o whisky, a ją robią tu, na Ziemi.

Jeszcze raz rozważa schowanie telefonu, dochodzi do wniosku, że może odpisać, ale odrzuca ten pomysł i wstaje. Stare nawyki są zbyt silne.

Recepcjonistka, według identyfikatora, ma na imię Marlee. Wygląda na jakieś siedemnaście lat. Obdarza Hodgesa promiennym uśmiechem cheerleaderki.

– Pan doktor zaraz pana przyjmie, obiecuję. Mamy ociupinkę opóźnienia. Niech żyją poniedziałki.

– *Poniedziałek, poniedziałek, nie ufam mu* – cytuje piosenkę Hodges.

Marlee patrzy na niego bez wyrazu.

– Wyjdę na chwilę, dobrze? Muszę zadzwonić.

– Nie ma sprawy – odpowiada recepcjonistka. – Niech pan tylko stanie przy drzwiach. Pomacham, kiedy pan doktor będzie gotowy.

– Może być. – W drodze do wyjścia Hodges zatrzymuje się przy starszej pani. – Dobra ta książka?

Kobieta podnosi wzrok.

– Nie, ale bardzo pobudzająca.

– Słyszałem. Film pani widziała?

Starsza pani patrzy na niego zdziwiona i zaciekawiona.

– Zrobili z tego film?

– Tak. Powinna pani obejrzeć.

Hodges sam go nie widział, chociaż Holly Gibney – wcześniej jego asystentka, a obecnie współpracowniczka, od czasów trudnego dzieciństwa

zapalona kinomanka – próbowała go zaciągnąć. Dwa razy. To ona ustawiła mu w telefonie ten dźwięk tłuczonego szkła z okrzykiem HOME RUN jako powiadomienie o SMS-ie. Uznała, że to bardzo śmieszne. Hodges też... początkowo. Teraz go wkurza. Poszuka w internecie, jak to zmienić. Przekonał się, że w internecie można znaleźć wszystko. Niektóre rzeczy są przydatne. Niektóre ciekawe. Niektóre zabawne.

A niektóre kurewsko obrzydliwe.

2

Dawny partner Hodgesa, Pete, odzywa się po dwóch sygnałach.

– Huntley.

– Posłuchaj mnie uważnie – mówi Hodges – bo to może być później na teście. Tak, będę na imprezie. Tak, po poczęstunku wygłoszę parę zdań, zabawnych, ale nie świńskich, i wzniosę pierwszy toast. Tak, rozumiem, że przyjdzie i twoja eks, i obecna kobitka, ale z tego, co wiem, nikt nie wynajął striptizerki. A jeżeli jednak, to na pewno Hal Corley, który jest idiotą, więc musisz go zapy...

– Bill, przestań. Nie chodzi o imprezę.

Hodges milknie natychmiast. Nie tylko dlatego, że w tle słyszy gwar głosów – policyjnych, wie to na pewno, choć nie rozumie, co mówią. Milknie, bo Pete nazwał go „Bill”, a to znaczy, że sprawa jest poważna. Myśli Hodgesa mkną najpierw do Corinne, jego eks, później do córki Alison, która mieszka w San Francisco, a potem do Holly. Chryste, jeśli Holly coś się stało...

– Co jest, Pete?

– Jestem na miejscu zajścia, wygląda na zabójstwo z samobójstwem. Chciałbym, żebyś przyjechał i rzucił okiem. Weź tę swoją pomagierkę, jeśli jest dostępna i ma ochotę. Przykro mi to mówić, ale ona chyba jest nieco mądrzejsza od ciebie.

Czyli nikt z bliskich. Mięśnie brzucha Hodgesa, zaciśnięte, jakby miały przyjąć uderzenie, rozluźniają się. Ale stały ból, z powodu którego przyszedł do Stamosa, nie mija.

– Oczywiście. Bo jest młodsza. Po sześćdziesiątce człowiek zaczyna tracić miliony szarych komórek, o czym za parę lat sam się przekonasz. Na co ci taki stary dziad jak ja na miejscu zbrodni?

– Bo to pewnie moje ostatnie śledztwo, bo w gazetach będzie dym

i bo, nie zemdlej, autentycznie cenię twoje zdanie. I tej Gibney też. Poza tym w dziwny sposób wy również jesteście z tym związani. To pewnie zbieg okoliczności, ale nie wiadomo.

– Jak to związani?

– Kojarzysz nazwisko Martine Stover?

Przez moment Hodges nie przypomina go sobie, a potem otwiera się odpowiednia klapka. W mglisty poranek w 2009 roku przed City Center w środku miasta pewien szaleniec, Brady Hartsfield, wjechał skradzionym mercedesem benzem w tłum ludzi szukających pracy. Zabił osiem osób, poważnie ranił piętnaście. W trakcie śledztwa detektywi K. William Hodges i Peter Huntley rozmawiali z mnóstwem ludzi obecnych tamtego ranka na miejscu zdarzenia, w tym ze wszystkimi rannymi, którzy przeżyli. Rozmowa z Martine Stover była najtrudniejsza, nie tylko dlatego, że z powodu zniekształcenia ust nie rozumiał jej praktycznie nikt oprócz matki. Stover została sparaliżowana od szyi w dół. Później Hartsfield wysłał do Hodgesa anonimowy list, w którym nazwał ją „bezwładnym kłocem”. Radioaktywne ziarno prawdy zaszyte w tym paskudnym żarcie było szczególnie okrutne.

– Pete, nie wyobrażam sobie, że mordercą jest ktoś z tetraplegią... chyba że w odcinku *Zabójczych umysłów*. Więc zakładam...

– Sprawcą jest jej matka. Najpierw zabiła Stover, a potem siebie. Przyjedziesz?

Hodges się nie waha.

– Tak. Po drodze wezmę Holly. Jaki adres?

– Hilltop Court szesnaście zero jeden. W Ridgedale.

Ridgedale to północna sypialnia miasta, przedmieście nie tak luksusowe jak Sugar Heights, ale wciąż całkiem ładne.

– Będę za czterdzieści minut, pod warunkiem że Holly jest w biurze.

Na pewno jest. Niemal zawsze pojawia się za biurkiem o ósmej, czasem nawet o siódmej, i zwykle siedzi tak długo, aż Hodges nakrzyczy na nią, żeby poszła do domu, zrobiła sobie coś na kolację i obejrzała film na komputerze. To głównie zasługa Holly Gibney, że Uczciwi Znalazcy w ogóle przynoszą zysk. Jest mistrzynią organizacji, geniuszem komputerowym, a ta praca to dla niej całe życie. No, oczywiście nie licząc Hodgesa i Robinsonów, zwłaszcza Jerome'a i Barbary. Pewnego razu ich mama nazwała Holly honorowym Robinsonem, a ona rozpromieniła się wtedy jak słońce w letnie popołudnie. Ostatnio zdarza jej się to coraz częściej, ale nie tak często, jak chciałby Hodges.

- Świetnie, Kerm. Dzięki.
 - Czy zwłoki już wywieziono?
 - Właśnie ruszają do kostnicy, ale Izzy ma wszystkie zdjęcia na iPadzie. – Pete ma na myśli Isabelle Jaynes, swoją partnerkę, odkąd Hodges przeszedł na emeryturę.
 - Dobra. Przywiozę ci eklerkę.
 - Mam tu już całą cukiernię. A tak w ogóle, to gdzie teraz jesteś?
 - Nieważne. Przyjadę jak najszybciej.
- Hodges rozłącza się i biegnie korytarzem do windy.

3

Pacjent doktora Stamosa z ósmej czterdzieści pięć wreszcie wychodzi z pokoju badań na tyłach. Marlee rozgląda się za panem Hodgesem. Był umówiony na dziewiątą, a jest już wpół do dziesiątej. Biedak pewnie się niecierpliwi, kiedy wreszcie załatwi sprawę i będzie mógł się zająć innymi rzeczami. Dziewczyna zerka na korytarz i widzi Hodgesa rozmawiającego przez komórkę.

Wstaje i zagląda do gabinetu Stamosa. Doktor siedzi za biurkiem z rozłożoną teczką z wydrukowanym napisem **KERMIT WILLIAM HODGES**. Coś w niej czyta. Pociera skroń, jakby bolała go głowa.

- Doktorze? Czy poprosić pana Hodgesa?

Zaskoczony lekarz podnosi wzrok na Marlee, a potem zerka na zegar na biurku.

- Boże, oczywiście. Poniedziałek jest do kitu, co?
- Nie ufam mu – odpowiada dziewczyna i odwraca się do drzwi.
- Uwielbiam swoją pracę, ale tego jednego w niej nie cierpię – mówi Stamos.

Tym razem to Marlee jest zaskoczona. Patrzy na niego.

- Nieważne – rzuca doktor. – Mówię sam do siebie. Przyślij go i miejmy to już za sobą.

Marlee zerka na hol w samą porę, by zobaczyć, jak na drugim jego końcu zamykają się drzwi windy.

4

Hodges dzwoni do Holly z krytego parkingu sąsiadującego z centrum

medycznym, a kiedy dociera do Turner Building przy Lower Marlborough, gdzie znajduje się ich biuro, ona stoi przed wejściem z teczką między stopami w czółenkach. Holly Gibney – bliżej już pięćdziesiątki niż czterdziestki, dość wysoka, szczupła, kasztanowe włosy zwykle mocno ściągnięte w kok – tego ranka ma na sobie masywną parkę North Face z nałożonym kapturem, który okala jej małą twarz. Tę twarz można by nazwać nieładną, myśli Hodges, dopóki nie zobaczy się oczu, pięknych i pełnych inteligencji. A można nie zobaczyć ich całkiem długo, bo ich właścicielka z zasady nie uznaje kontaktu wzrokowego.

Hodges podjeżdża swą toyotą prius do krawężnika i Holly wskakuje do auta, ściąga rękawiczki i przystawia dłonie do wywietrznika ogrzewania po stronie pasażera.

– Bardzo długo tu jechałeś.

– Piętnaście minut. Byłem po drugiej stronie miasta. Po drodze stałem na wszystkich światłach.

– Osiemnaście – prostuje Holly, kiedy Hodges włącza się do ruchu. – Bo przekroczyłeś przepisową prędkość, co przynosi odwrotny skutek. Jadąc dokładnie trzydzieści kilometrów na godzinę, można złapać zieloną falę na prawie każdym skrzyżowaniu. Światła są tak ustawione. Powtarzałam ci już kilka razy. A teraz opowiadaj, co mówił doktor. Badania zdałeś na piątkę?

Hodges rozważa możliwe rozwiązania. Do wyboru ma dwie opcje: powiedzieć prawdę albo lawirować. Holly zmusiła go, żeby poszedł do lekarza, bo skarżył się na dolegliwości brzuszne. Z początku tylko ucisk, a teraz lekki ból. Może i ona ma problemy z osobowością, ale wiercić dziurę w brzuchu to potrafi. Jak nawiedzona, myśli czasem Hodges.

– Wyniki jeszcze nie wróciły. – To nie do końca kłamstwo, mówi sobie, bo przecież nie wróciły do mnie.

Holly spogląda na niego z powątpiewaniem, kiedy wjeżdżają na przelotówkę. Hodges nie cierpi, gdy tak na niego patrzy.

– Dopilnuję tego – mówi. – Zaufaj mi.

– Ufam ci – odpowiada Holly. – Ufam ci, Bill.

Od tego robi mu się jeszcze gorzej.

Holly pochyla się, otwiera teczkę i wyjmuje iPada.

– Czekaając na ciebie, sprawdziłam kilka rzeczy. Chcesz posłuchać?

– Dawaj.

– Martine Stover miała pięćdziesiąt lat, kiedy Brady Hartsfield

zrobił z niej kalekę. Czyli teraz miała pięćdziesiąt sześć. Teoretycznie może już pięćdziesiąt siedem, ale mamy dopiero styczeń, więc myślę, że to mało prawdopodobne, a ty?

– Owszem, mało.

– Gdy doszło do tragedii pod City Center, mieszkała z matką przy Sycamore Street. Niedaleko Brady’ego i jego matki, co właściwie zakrawa na ironię losu.

Oraz niedaleko Toma Saubersa i jego rodziny, myśli Hodges. Nie tak dawno razem z Holly prowadzili sprawę rodziny Saubersów. Ona również wiązała się z tym, co miejscowa gazeta nazywała Masakrą Mercedesem. Zresztą, jeśli się zastanowić, różnych powiązań jest mnóstwo, w tym zapewne najdziwniejsze – że samochód, którego Hartsfield użył jako narzędzia zbrodni, należał do kuzynki Holly Gibney.

– Jakim cudem starsza kobieta i jej niesprawna córka awansowały z Tree Streets do Ridgedale?

– Ubezpieczenie. Martine Stover miała nie jedną i nie dwie solidne polisy, ale trzy. Była trochę sfiksowana na tym punkcie.

Hodgesowi przechodzi przez myśl, że tylko ona może to powiedzieć z uznaniem.

– Potem napisali o niej parę artykułów – ciągnie Holly – bo ze wszystkich, którzy przeżyli, doznała najcięższych obrażeń. Mówiła, że idąc na targi pracy w City Center, wiedziała, że jeśli czegoś tam nie znajdzie, będzie musiała zacząć spieniężać polisy jedną po drugiej. Bądź co bądź, była niezamężną kobietą z matką, bezrobotną wdową, na utrzymaniu.

– Która koniec końców zaopiekowała się nią.

Holly kiwa głową.

– Bardzo dziwne, bardzo smutne. Ale przynajmniej miały ochronę finansową, a w końcu właśnie po to są ubezpieczenia. Nawet trochę awansowały w świecie.

– Owszem – mówi Hodges – ale teraz go opuściły.

Na to Holly nie ma odpowiedzi. Przed nimi zjazd do Ridgedale, więc Hodges skręca.

5

Pete Huntley przytył, brzuch wylewa mu się znad sprzączki paska, ale Isabelle Jaynes, w obcistych spranych dżinsach i niebieskim

żakiecie, jest równie oszałamiająca jak zawsze. Jej zamglone szare oczy przeskakują z Hodgesa na Holly, a potem znowu na Hodgesa.

– Schudłeś – mówi. Może to być albo komplement, albo zarzut.

– Ma kłopoty z żołądkiem, więc poszedł na badania – oznajmia Holly. – Wyniki miały być dzisiaj, ale...

– Nie wchodźmy w to, Hols – przerywa jej Hodges. – Nie przyszliśmy z wizytą do lekarza.

– Z każdym dniem coraz bardziej przypominacie stare małżeństwo – stwierdza Izzy.

– Małżeństwo z Billem zaburzyłoby nasze relacje zawodowe – odpowiada Holly rzeczowym tonem.

Pete się śmieje, a ona rzuca mu zdziwione spojrzenie. Wchodzą do budynku.

To ładny dom z dwuspadowym dachem. Chociaż stoi na szczycie wzgórza, a dzień jest zimny, wewnątrz panuje miłe ciepło. W przedpokoju cała czwórka wkłada cienkie gumowe rękawiczki i ochraniacze na buty. Jak to wszystko powraca, myśli Hodges. Jakby nigdy nie odeszło.

W salonie na jednej ze ścian wisi obraz przedstawiający biedne dzieci o wielkich oczach, a na drugiej – duży telewizor. Przed nim stoi głęboki fotel, a obok niski stolik. Na blacie, starannie ułożone w wachlarz, leżą czasopisma o życiu celebrytów w stylu „OK!” i brukowce, takie jak „Inside View”. Pośrodku pokoju w dywanie są dwa głębokie wyżłobienia. To tutaj siadywały wieczorami, oglądając telewizję, myśli Hodges. Albo nawet całymi dniami. Matka w fotelu, Martine na wózku. Który, sądząc po tych śladach, musiał ważyć tonę.

– Jak nazywała się matka? – pyta.

– Janice Ellerton. Jej mąż James zmarł dwadzieścia lat temu, według... – Pete, taki sam tradycjonalista jak Hodges, zamiast iPada nosi notatnik. Teraz do niego zagląda. – Według Yvonne Carstairs. Ona i druga opiekunka, Georgina Ross, znalazły ciała, kiedy przyszły tu rano, tuż przed szóstą. Za przychodzenie wcześniej dostawały dodatkowe wynagrodzenie. Ta Ross na niewiele się zdała...

– Bełkotała – wtrąca Izzy. – Ale Carstairs była w porządku. Zachowała zimną krew. Od razu wezwała policję, byliśmy na miejscu już o szóstej czterdzieści.

– Ile lat miała matka? – pyta Hodges.

– Jeszcze nie wiem dokładnie – odpowiada Pete. – Ale nie była młodką.